



Jesienią 1975 r. zacząłem dowodzić kompanią, w której przesłużyłem wcześniej cztery lata jako dowódca grupy. Zostałem więc dowódcą swojej macierzystej kompanii. Była ona zawsze znakomita, tak pod dowództwem Władimira Manczenko, jak i Wiktora Konowalczykowa. Ale świetnych kompanii w brygadzie było dużo, dla oddziału specjalnego to nie był wyróżnik. Chciałem zrobić z niej najlepszą kompanię w jednostce. Dla osiągnięcia celu trzeba było w pierwszej kolejności stworzyć dobry wojskowy kolektyw. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego, jak w „Trzech muszkieterach” Dumasa.

Kompania

I.J. Stodierewskij

Ludzie byli dobrze dobrani, tak oficerowie jak i żołnierze. Najlepszych z najlepszych zebrałem w grupę Rafika Łatypowa i to ona przez dwa lata zajmowała pierwsze miejsce we współzawodnictwie grup zwiadowczych. W boksie też byliśmy pierwsi. Kompania biegła crossy na takie odległości, na jakie nie biegali żaden pododdział brygady.

Jesienią 1977 roku naradziwszy się w kompanii, wyszedłem do wydziału politycznego brygady z propozycją, aby wykonać szybki marsz do Alma-Aty. Długość trasy 850 km. Dlaczego do wydziału politycznego i dlaczego w 1977 roku? Kraj przygotowywał się do świętowania 60-lecia Rewolucji Październikowej. Rozumiałem, że po prostu biec na taki dystans nikt nie zezwoli. Ale jeśli to uzasadnić politycznie, to być może, coś z tego wyjdzie. Zaproponowaliśmy, że będziemy przebiegać po 50 km dziennie. Wydział polityczny

powinien zabezpieczyć nam w miejscach noclegów pełne zaopatrzenie. W trakcie tego szybkiego marszu mogliby prowadzić pracę agitacyjną. Po naradzie odesłali mnie do diabła. Może to było słuszne.

We wszystkich moich poczynaniach niezbędne było poparcie nie tylko oficerów kompanii, ale i żołnierzy. Niezbędnym było oparcie się na całym kolektywie kompanii. I zacząłem tworzyć w kompanii organizację komsomolską. Oczywiście, na papierze, ona już była. Ale potrzebowałem pół roku, aby organizacja zadziałała. Wiele wysiłku włożył w to zastępca ds. politycznych kompanii Aleksandr Sławnik, chorąży, a następnie pułkownik, dziś jest wykładowcą jednej ze szkół wojskowych.

Chorąży – zastępca ds. politycznych, to w ogóle wyjątkowe zjawisko nie tylko w oddziale specjalnym, ale i w armii; to jest stanowisko oficerskie. Co prawda, w tym czasie zaocznie studiował w Nowosyberyjskiej Szkole Politycznej.

W kompanii było przyjęte, że na urodziny jest wręczany żołnierzowi tort. Jak mi się wydaje, taki gest jest ważny dla chłopaka oderwanego od rodziny.

Bardzo ważnym zadaniem było podniesienie roli podoficerów. Rolę kaprała w armii trudno przecenić. Jak mówił G.K. Żukow, będąc ministrem obrony: „Armią dowodzę ja i kaprale”. Ale to było w czasach Żukowa. Niestety, w latach 70. rolę podoficerów drastycznie ograniczono. Stąd i tak zwane nieregularne stosunki (diedowszczyna – przyp. tłum.).

Młodszy dowódca, który okrągłą dobę znajdował się w koszarach był w istocie odsunięty od wykonywania swoich obowiązków. Namnożono wiele stanowisk, tak na poziomie Ministerstwa Obrony jak i na niższych szczeblach, gdzie na-

Od lewej major I.J. Stodierewskij, jego brat Jurij (walczył w Afganistanie wraz z bratem, a później w dwóch wojnach czeczeńskich) i ojciec emerytowany oficer Wojsk Ochrony Pogranicza.





cisk był kładziony na szkolenie oficerów. A kapralowi nie można było polecić żadnego odpowiedzialnego zajęcia. Przygotowanie kaprali w szkołach podoficerskich było jakościowo niskie. Z przejściem armii na dwuletni okres służby, kaprali zaczęto przygotowywać przez sześć miesięcy. Przygotowanie pełnowartościowego dowódcy drużyny w sześć miesięcy jest skomplikowane. Wcześniej przygotowywano ich przez rok.

A przecież na wypadek wojny, w oddziale specjalnym, przewidywano zrzut grup wywiadowczych w składzie grup. Kto będzie dowodzić i wykonywać zadanie bojowe? Bez kombinowania, kapral.

Pamiętam, że kiedy mój ojciec służył w wojskach ochrony pogranicza żołnierzy przygotowywano przez wiele miesięcy w specjalnych centrach szkoleniowych. I tylko przygotowanych wysyłali do oddziałów. Mówią, że tam była inna specyfika służby, że żołnierz szedł chronić granicę. Więcej miał odpowiedzialności. Ale takie podejście powinno być we wszystkich rodzajach wojsk. Wtedy i psychologiczna bariera pomiędzy starszym służbą żołnierzem, a rekrutem będzie mniejsza. A przecież do oddziałów trafiają żołnierze, których nauczyli tylko chodzić w szyku i strzelać, w stronę tarczy. To bardzo złe w czasie pokoju i zbrodnicze w czasie wojny.

Jak mogłem, próbowałem wydzielić podoficerów z ogólnej żołnierskiej masy. Jeszcze dowodząc grupą w trakcie tygodnia, brałem ze sobą do miasta kaprali, a było ich tylko trzech, na nowe filmy. W armii zawsze pokazywano starzyznę. W naszym oddziale w Afganistanie dla kaprali był

oddzielny dzień na mycie się w łaźni, jak u oficerów. No i oczywiście powierzaliśmy im odpowiedzialne zadania, a oni zazwyczaj nie zawadzili.

W wyniku żmudnej pracy kolektywu oficerskiego kompanii osiągnęliśmy to, że w pododdziale powstał kolektyw podoficerski. W oddziałach ludzie grupują się głównie w oparciu o dwie zasady: ziomkostwa i rocznika powołania do służby. Kiedy przyszedł do mnie żołnierz ze skargą na zbyt wysokie wymagania kaprała, jak się mu wydawało, podziękowałem mu za tę wiadomość. Nareszcie kaprale w kompanii zaczęli pracować. Rzecz w tym, że żołnierz ten był z kapralem z jednego roku powołania, a do tego byli ziomkami.

Były również i dramatyczne wypadki. Starszy kapral (służby czynnej) jednej z kompanii, Mamietow, mistrz sportu w boksie zauważył, że dyżurny jednego z nim powołania, nocą obudził rekruta i zmusił go do czyszczenia sobie butów. Kapral wysłał żołnierza spać, a dyżurnemu zwrócił uwagę. Po upływie jakiegoś czasu on znowu zobaczył ten sam obraz i jednym uderzeniem złamał „panu” szczękę. Oczywiście było to niewłaściwe. Kaprała postawiono przed sądem wojskowym. Posiedzenie odbywało się w klubie żołnierskim. Była matka poszkodowanego, ale numer z tym, jaka to armia jest zła, nie przeszedł. To ona oso-

15. Samodzielna Brygada Specjalnego Przeznaczenia Głównego Zarządu Wywiadowczego Sztabu Generalnego została sformowana w mieście Czirczik w Uzbeckiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej. Pierwszy dowódca N.I. Łucew. Ponad 4 tysiące żołnierzy brygady zostało nagrodzonych orderami i medalami za męstwo przejawione podczas walk w Afganistanie. W 1994 r. brygada weszła w skład sił zbrojnych Uzbekistanu.



Jednostki specjalne



biście wychowała drania. A kapral w istocie stanął w obronie słabszego. I wykonał swój podoficerski i ludzki obowiązek, ale niestety niewłaściwą metodą. Mówili jej to bezpośrednio w twarz nie tylko oficerowie, ale i żołnierze. Na sali posiedzenia trwało narzekanie. A kiedy ogłaszano wyrok – trzy lata dyscyplinarnego batalionu, sala po prostu z oburzeniem wstała. Prawdopodobnie ta mama długo jeszcze opowiadała swoim znajomym o nieregularnych stosunkach w armii. Jej syna przenieśli w celu dosłużenia do innej jednostki. A Aliik, tak wołali kaprała, odsiedziawszy swoje w batalionie karnym po zwolnieniu z armii wrócił do Czyczyka. Ja już dowodząc oddziałem (dwukompanijny batalion specnazu – przyp. tłum.), zapraszałem go do rozmów z żołnierzami. Zły przykład bywa bardziej pouczający niż pozytywny.

Zastępca kompanii ds. politycznych stale utrzymywał korespondencję z rodzicami żołnierzy. Gdy tylko nowy żołnierz przybył do kompanii, natychmiast do rodziny szedł list. Prosił rodziców, żeby szczegółowo napisali o jego przyzwyczajeniach i sympatiach. Nam było łatwiej pracować, a rodzice byli spokojniejsi. Do tej pory przechowuję paczkę listów od rodziców żołnierzy. Ale pisali do nas też byli współtowarzysze broni. Mieliśmy album „Piszą do nas”. Ponadto były jeszcze dwa albumy: „Piszą o nas” i „Oni służyli w naszej kompanii”. W pierwszym zamieszczałyśmy wszystkie publikacje z prasy o kompanii. W gazecie okręgowej praktycznie, co kwartał drukowany był artykuł. Były publikacje i w innych wydaniach. W drugim albumie, były fotografie żołnierzy zwolnionych do rezerwy. Ale nie wszyscy mogli dostać się do tego albumu. Tylko najlepsi z najlepszych. O tym decydowało się na zebraniu komsomolskim.

Wszystkie te działania pomagały nam w wychowaniu żołnierzy. Na podsumowaniu przygotowania bojowego i politycznego najlepszemu pod-

oddziałowi (czytaj – drużynie – przyp. tłum.) wręczana była na miesiąc nagroda przechodnia – proporzec imienia Ernesto Che Guevary. W jednostce honorowano najlepszą grupę, a w kompanii zdecydowałem się to robić dla drużyny. Proporzec stał obok łóżka dowódcy uhonorowanego oddziału. W związku z tą nagrodą miałem problemy z zastępcą ds. politycznych batalionu majorem Kondratowiczem.

On mi udowadniał, że Che to lewak, a nasza partia nie podziela jego poglądów. I że jesteśmy przeciwko eksportowi rewolucji. Na to ja mu odpowiadałem, że dla mnie on jest wzorem jako żołnierz oddziału specjalnego i jako człowiek. On prawdopodobnie nie podobał się wielu z naszej „góry” dlatego, że pisał: „Rewolucyjny działacz państwowy powinien prowadzić mnisi sposób życia. To jest zrozumiałe. Przecież większość urzędników, szczególnie wysoko opłacanych, w naszych krajach zajmuje się samowzbogaceniem, rozkradaniem państwowej kasy, braniem łapówek, żyją w luksusowych willach, piją i się łajdaczą”. Ta wypowiedź była aktualna wtedy i jest aktualna dzisiaj. Che wzywał: „Żyćcie skromnie, nie próbujcie robić kapitalizmu w socjalizmie”. On porzucił stanowisko ministra skarbu w tym kraju, któremu pomógł zyskać wolność (Kuba – przyp. tłum.) i poszedł walczyć za obcy kraj, za cudzą wolność. Mylił się, ale do końca był wierny sobie i swoim ideałom. (...) Zginął jak żołnierz, w walce. „Nigdy nie wrócę zwyciężony. Będę wołał śmierć w porażce” – pisał Che.

Nagradzałem więc dalej tym proporcem, a Kondratowicz zabierał go do siebie do gabinetu. Dyżurny mi sprawę referował i szedłem na kolejną rundę negocjacji. W końcu Wasyl Dmitrijewicz poddał się i zostawił proporzec w spokoju. Już kiedy przeszedł do rezerwy, a ja dowodziłem oddziałem przysłał mi dwa ogromne listy. W których szczegółowo opisał życie Che. Wtedy w sprzedaży takiej literatury było bardzo mało.



Podczas wykonywania skoku z wysokości 3000 m, z 30-sekundowym opóźnieniem otwierania czaszy spadochronu.



Nie jeden wieczór, jak widać, przesiedział Dmitricz nad tym życiorysem. Kłamstw nie było.

Miałem jeszcze starcie z naczelnikiem wydziału politycznego związane z wyborami do Rady Najwyższej ZSRR. Otrzymałem informację o tym, że w kompanii nocą część żołnierzy piła alkohol. Zawsze wyjaśnialiśmy ludziom, że picie alkoholu osłabia gotowość bojową. Nie dochodziłem, kto pił, ile pił i dlaczego pił; nie lubiłem takiego przepytывania. Podniosłem kompanię alarmem na marsz terenowy. Po przebiegnięciu trzech kilometrów już było widać, kto nocą świętował. Jeszcze kilometr, dwa i koledzy musieliby ich nieść. Na marszu terenowym oddział musi biec zwarty. Pozostających w tyle być nie może. Ale tu trafił się naczelnik wydziału politycznego. Boże, jakie miał oczy.

Rzecz w tym, że w ten dzień były wybory i w związku z tym „gry w demokrację”. W ten dzień żołnierzy budzono przed świtem. Do momentu otwarcia lokalu wyborczego wszyscy już stali przed drzwiami. Niezbędne było pokazanie aktywności. Kogo oszukiwano? Nie jest zrozumiałe, przecież obserwatorów nie było. Po głosowaniu zaczynała się demokracja, a dokładniej burdel.

W ten dzień żołnierze mogli chodzić do stołówek bez dyscypliny, a organizacja wyżywienia w naszych stołówkach nie była do tego przygotowana. Stoły nakrywano dla oddziałów i można było przychodzić razem, ale bez porządku. Innymi słowy tłumem.

I w ten „dzień demokracji” biegnę z kompanią na marsz terenowy. Spróbowałem się wykręcić. Powiedziałem, że całym kolektywem poświęcamy ten marsz wyborom. Naczelnik wydziału politycznego stwierdził, żeby go nie oszukiwał i zawrócił kompanię. Miałem z nim niezłe stosunki

i wszystko przeszło bez następstw, nigdzie o tym nie powiedział ani słowa.

Pamiętam, że w sąsiedniej kompanii, dowódca oddziału Sergiej Szapiro, przeprowadzał mniej więcej taką samą pracę wychowawczą. Kiedyś do niego do gabinetu przyprowadzono dwóch żołnierzy, którzy już odsiedzieli karę na wartowni. Szapiro zapytał – co pili, ile i czym zagryzali. Dał pieniądze starszemu kapralowi kompanii i wysłał go do sklepu. Zakupy wyłożono na stół i zaproponowano ukaranym, by to wszystko spożyli. Oni zrezygnowali, ale dowódca batalionu rozkazał im robić to, co zrobili poprzednio. Żal na te dzieci było patrzeć. Jak siedzieć i pić, jeśli to przedstawienie obserwuje całe dowództwo oddziału? Po „bankiecie” dowódca batalionu pozwolił im posiedzieć w palarni, popalić pół godziny papierosy. Potem ich wezwał i powiedział, że teraz im udowodni, że osłabiają gotowość bojową. Rozkazał dowódcy grupy: „Pełne obciążenie i szybki marsz na 6 km”.

W czasie ich biegu zebrano resztę oddziału. Naruszyli gotowości bojowej postawiono przed frontem i dowódca batalionu krótko oznajmił: „Nasza jednostka jest w stałej gotowości bojowej. Lada chwila może nastąpić sygnał alarmu bojowego. Czy ci dwaj nasi koledzy teraz są w tym stanie prowadzić walkę? A przecież może się przytrafić biec nie 6 km, a znacznie więcej”. Winni ledwie trzymali się na nogach. Już później w Afganistanie miałem bardzo twarde wymagania wobec amatorów „zielonej żmii”. Alkohol w sytuacji bojowej jest niedopuszczalny i prowadzi do nieuzasadnionych strat.

W kompanii stworzyłem komitet do walki z paleniem. Całą swoją służbę walczyłem z tym natio-giem. Nie, nie zmuszaliśmy nikogo do rzucania

Pododdział specnazu przed rozpoczęciem ćwiczeń





Jednostki specjalne

palenia. Prowadziłem propagandę, a najlepszą był cross. Kiedy żołnierz przybiegł na finisz, chodzi, odpluwa się i mówi: „Wszystko, trzeba rzucić palenie, ciężko biec”. Podstawą było to, by nie dać zapalić tym, którzy przed wcieleniem do armii nie palili.

U mnie w kompanii, a potem w oddziale, zestawiałem spisy nowych wcielonych żołnierzy, którzy nie palili. I biada była temu kapralowi, przy którym ten żołnierz zapalił. Będąc już dowódcą pułku popierałem oficerów, którzy prowadzili zdrowy sposób życia. Temu, kto w ciągu roku nie chorował, dodawałem dwie doby do urlopu, a tym, którzy nie palili jeszcze trzy. (...)

Bardzo ważną sprawą było organizowanie wolnego czasu żołnierzy. Oni chodzą na przepustki, ale przecież to stanowi tylko piętnaście procent stanu. Więcej nie wolno, podważyło by to gotowość bojową. Żołnierzy powinno się dać odetchnąć. Powinien wiedzieć, że po całotygodniowych zajęciach nad przygotowaniem bojowym, na przepustce dobrze odpocznie. Wtedy i więź będzie lepsza.

Jeszcze jako lejtnant organizowałem swojej grupie przejażdżki do Taszkentu, na koncert Estrady Słowackiej. (...)

Trzy zadania dowódcy każdego szczebla to:

– gotowość bojowa oddziału albo jednostki, niezależnie od przeszkód;

– windowanie w górę rozsądnych, perspektywicznych podwładnych;

– deptanie lichoty.

Kiedy zostałem dowódcą kompanii, a potem dowódcą batalionu wywoziłem ludzi do Taszkentu do operetki. Zamawialiśmy samochody, tankowaliśmy benzynę, którą sami załatwialiśmy przez znajomych, kombryg, który zmienił W.W. Kolesnika – dawał samochody, ale bez benzyny. W ten sposób – nie często – ale żołnierze bywali w teatrze.

Zimą, w jedną z niedziel, wywoziłem kompanię na Czymgan, szczyt, na którego zboczach były urządzone trasy narciarskie. Narty u nas w brygadzie były, prawda, nie górskie i niezbyt dobrej jakości, ale jeździć było można. Ale po jeździe odbywał się cross na 20 km. Tak że część przejechaliśmy, a część przebiegliśmy.

Właściwie zimą często przeprowadzaliśmy zajęcia z taktyki na nartach. Ja pierwszy raz jeździłem na nartach dopiero w Czyczryku. Ale dobrze ich nie opanowałem, bo zima często nas nie rozpieszczała dobrym śniegiem. (...)

Będąc dowódcą oddziału rozkazałem naprawić związki patronackie. Jedna kompania miała związki ze szkołą medyczną, a druga z technikum przemysłowym. (...) Jeden z naczelników w brygadzie, kiedy ja załatwiałem wyjście składu batalionu na dyskoteki do instytucji, którym patrono-

Autor podczas stawiania zadań dowódcom grup.





waliśmy, powiedział mi cynicznie: „Co Stodieriewskij, zdecydowaliście się rasę w Czircyku udoskonalać?”. Na to ja jemu odpowiedziałem, że zajmuję się zawsze tylko jednym, podwyższeniem gotowości bojowej. Najpierw daj żołnierzowi, a potem bierz od niego. (...)

Nowy Rok świętowaliśmy u któregoś z oficerów. Wyjątkiem byli zastępcy ds. politycznych, oni w tę noc byli obowiązani być razem z żołnierzami i zorganizować im to święto. Po wypiciu o 12.00 w nocy kielicha szampa zostawialiśmy nasze damy i bieглиśmy na kompanię pozdrowić żołnierzy. Zazwyczaj, oficerowie służący na szczelbu kompanii żyli w wojskowym miasteczku, obok jednostki. (...)

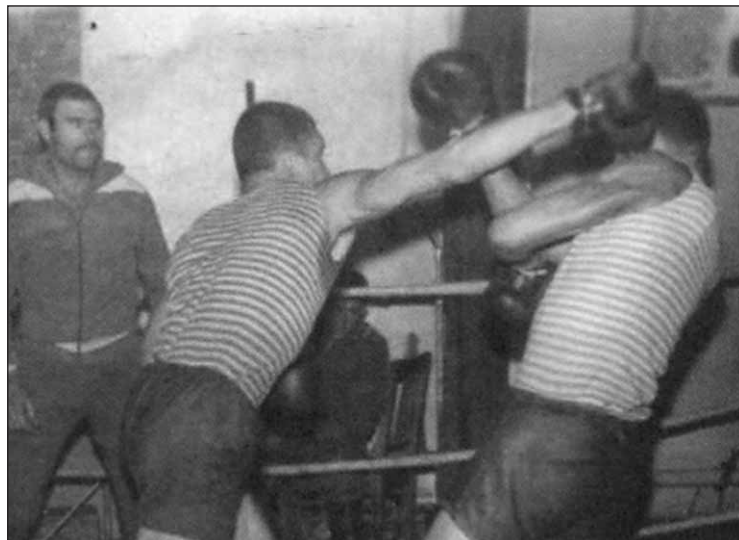
Żołnierskie koszary były u nas zbudowane z płyt i dokładaliśmy maksimum wysiłków, żeby sprawić, aby był żołnierz mniej więcej normalnym. W leninowskim pokoju znajdowało się wielkie akwarium, a podobno zwykłe obserwowanie pływających w nim rybek, częściowo osłabia stres. Zdecydowaliśmy w jednym z kątów koszar zrobić wielką wolierę papug falistych.

Wydawało mi się się, że żołnierzom będzie przyjemnie zasypiać przy ich niegłośnym szczeniociu. A w ciągu dnia przyjemnie obserwować ich rwestes. Ale jak tylko zaczęliśmy budować klatkę, przybiegł zastępca ds. tyłów brygady i rozkazał wszystkim zabrać. Okazało się, że papugi to roznosiciele różnych chorób, ale widocznie tylko w koszarach. To jeszcze raz potwierdziło fakt, że u nas nie lubią, kiedy ktoś się wysuwa przed szereg.

Ale kwiatnik przed koszarami był u nas najlepszy w jednostce. Kwiatów zabronić nie mogli. Było wiele krzaków róż i żeby ich nie ścinał byle kto, byłem zmuszony utrzymywać dyżurnych kompanii nie tylko wewnątrz koszar, ale i na zewnątrz. I tylko za moim pozwoleniem kobiety ze sztabu brygady mogły uciąć sobie bukiet. Dowódcą oddziału Sergiej Szapiro dowcipnie mnie nazywał „pszczelarzem”. Prawdopodobnie dziwnie było patrzeć jak dowódca kompanii specjalnej z nożycami w ręku obcina krzaki. (...)

Ale wszystko to było wtórne, na pierwszym miejscu było bojowe przygotowanie. Już pisałem o nim, dodam tylko kilka uwag. Za koszarami zainstalowaliśmy tarczę z podkładów kolejowych w rozmiarach człowieka – do rzucania nożami. I chociaż w programie przygotowania bojowego nie ma takiego ćwiczenia, uczyliśmy żołnierzy miotania nimi. Noże tam swistały cały boży dzień.

Z Jurą Cyganowem często urządzaliśmy w niedzielę współzawodnictwo sportowe między naszymi kompaniami. Było wiele różnych etapów i ćwiczeń, ale w końcu obowiązkowo z nim rzucałyśmy nożami. Najlepszym do rzutu był bagniet-noż od automatu Kałasznikowa, ten stary, prosty



Autor podczas sędziowania pojedynku bokserskiego

jak sztylet. Na tydzień kompanii starczało 10 sztuk, żołnierze rozbijali je doszczętnie. Ale w magazynie brygady było ich wiele i dlatego problemu z wymianą nie było. Podstawą wydania nowego noża było przekazanie klingi.

W oddziale specjalnym każdy oficer starał się robić coś najlepiej. Jura Cyganow mógł przebiec cross długości, po prostu nie uwierzycie, 125 km. On kupował bilet na autobus Taszkent – Czymkent, zostawiał tam rzeczy, a sam biegł do Czymkentu.

Sasza Czubarow strzelał jak as; z każdego położenia (w przyszłości zostanie zastępcą ministra obrony Tadżykistanu, a potem generałem Armii Rosyjskiej).

A Fiedia Wołoch, dowódca grupy, wirtuozersko miotał siekierami; były to niewielkie turystyczne siekierki, z odległości około 15 metrów.

Najzaszczytniejszym tytułem u nas w brygadzie dla żołnierza z oddziału specjalnego było nazwanie go „Rexem”. Człowiek, noszący taki tytuł, był przykładem fizycznej doskonałości i wysokiego zawodowstwa, posiadał siłę woli i wspaniałe zdolności organizatorskie. Taki człowiek był wzorem dla innych, aby widzieli, do czego należy dążyć. Takiego tytułu nikt z „góry” nie nadawał, nie był przyznawany oficjalnie. Krążył i był nadawany przez żołnierską masę. Wśród „Rexów” byli oficerowie, chorążowie oraz żołnierze. Nie będę ich wymieniał tych. Przeszło wiele lat, mogłem coś zapomnieć i mógłbym kogoś urazić.

Za koszarami, na czterech słupach, na wysokości 2,5 metra, był zainstalowany kwadrat z desek, w który jak we wąż zobowiązany był wleźć każdy żołnierz. Wykonanie tego zadania nie było proste. Trzeba było podskoczyć, położyć dłonie na płaską deskę, a potem, zrobiwszy podniesienie siłą, wleźć w otwór. Nie każdy i nie od razu to





Jednostki specjalne

robił, ale trenować mógł do woli, daleko chodzić nie trzeba było.

Cały skład osobowy pięknie strzelał ze wszystkich typów broni strzeleckiej, głównie na celująco. Pamiętam jak podczas jednego sprawdzianu, obok było przeprowadzane strzelanie oddziałów pułku spadochronowo-desantowego zakwaterowanego w wiosce Arancza obok Czycrzyku. Na rubieży ogniowej stał dowódca pułku i każdemu, który wykonał strzelanie celująco wręczał pięć rubli, wtedy to było więcej niż miesięczny żołd żołnierza. Kiedy po sąsiedzku podszedł do nas i opowiedział o tym wymyślnym przez siebie bodźcu, dowódca oddziału odpowiedział, że my tak nie możemy, bo kraj zbankrutuje. Z mojej kompanii wtedy tylko czterech wystrzelało ocenę dobrą, pozostali na celująco, tak było we wszystkich kompaniach.

Każda kompania minimum dwa razy na tydzień wychodziła na strzelnicę. Strzelanie odbywało się za dnia i nocą. Trochę problemów było ze strzelaniem z pistoletu.

W oddziale specjalnym każdemu żołnierzowi, oprócz podstawowej broni, należał się jeszcze pistolet. Strzelali z pistoletu Makarowa i z AO-44, to jest pistoletu do cichego strzelania. Żołnierzy uczono strzelania niestandardowego. Na przykład strzelania z biodra i strzelania z podrzutu. Staraliśmy się te strzelania przeprowadzać na konie każdego z zajęć. Czasami urządzaliśmy współzawodnictwo między oficerami albo kaprałami. Dwaj ludzie kładli się na rubieży ogniowej, podnoszono wszystkie tarcze strzelnicze, które



znajdowały się na tym kierunku. Strzelanie odbywało się pojedynczymi strzałami. Zadanie polegało na tym, by jak najszybciej trafić w swoje tarcze strzelnicze i potem można było przechodzić na tarcze kolegi. Był to swoisty pojedynek.

Czasami sprawdzenie przygotowania ogniowego było niestandardowe. Raz przyjechała komisja z Alma-Aty (wtedy podlegaliśmy SAWO1), która zażądała, żeby co drugi żołnierz strzelał z lewej ręki. My, oczywiście, burzyliśmy się i zaczęliśmy udowadniać, że takiego typu strzelania nie ma w instrukcji. Na to przewodniczący komisji oświadczył, że może napluć na instrukcję strzelania. Dowodzący okręgiem powiedział, że u niego oddziały specjalne strzelają ze wszystkich rąk jednakowo dobrze i dlatego rozkazał tak przeprowadzić sprawdzenie przygotowania ogniowego. Wyjścia nie było. Okazało się, że wszystkich oficerów i podoficerów w oddziale strzelających z lewej ręki jest tylko czterech. Ale daliśmy sobie radę i wystrzelaliśmy sprawdzian na celująco. A tu nowy przypadek. Dowodzący, a był nim generał armii Laszczenko N.G. za świetne strzelanie podarował brygadzie, teraz już nie pamiętam, jeden lub dwa wagony kolejowe amunicji. I całą brygadą przez tydzień nie wyładaliśmy ze strzelnicy, rozkazano nam zużyć amunicję jeszcze w tym samym okresie szkolenia. Postrzelaliśmy sobie do młodości. (...)

Wiosną 1976 roku naszą brygadę podporządkowano Turkiestańskiemu Okręgowi Wojskowemu, a w Średnioazjatyckim zaczęli formować własną. Rozmieszczono ją w miejscowości Kopczagaj, to jest niedaleko na północ od Alma-Aty. Podstawowy oficerski szkielet tej brygady stanowili nasi oficerowie. Dowódcą brygady wyznaczono podpułkownika Gruzdiewa, który był zastępcą kombryga. Na zastępcę do niego poszedł Sasza Ilin. Przez komisję, która zajmowała się podziałem, przeszli wszyscy oficerowie brygady. Proponowano posady, pytano o zgodę. Poszło wielu oficerów. Mnie też wezwano. Nastawiłem się na tłumaczenie, że sprzykrzyło mi się siedzieć w jednym miejscu. Odpowiadało mi, że zastępca dowódcy będzie Sasza Ilin. Ale gdy tylko zaszedłem i przedstawiłem się komisji, dowódca brygady, W.W. Kolesnik, nie pozwolił mi otworzyć ust i oznajmił, że mnie nie puści. Oczywiście pochlebiało mi to, ale miałem ogromną ochotę zmienić swoją sytuację. Spróbowałem coś powiedzieć, ale Wasyl Wasiljewicz tak popatrzył na mnie, że oddałem honory, odwróciłem się i wyszedłem z gabinetu.

Przekazanie brygady do Turkiestańskiego Okręgu Wojskowego miało swoje dobre i złe strony. Złe było to, że należało rozpocząć naukę innego języka. Język chiński jest oczywiście złożony, ale studiowaliśmy go już wiele lat i oficerów,



Ćwiczenia w warunkach zimowych



referentów-tłumaczy, ze znajomością właśnie tego języka, było już u nas wielu. A tu przyszło wszystko zmieniać i przechodzić na naukę języka – farsy, w związku z tym, że brygada otrzymała inny kierunek swojej działalności bojowej. Turkeyskański Okręg Wojskowy chronił południowe podbrzusze kraju. Ale była też i strona pozytywna. Żołnierze, Tadźcy pięknie rozumieli farsy, gdyż są to języki spokrewnione.

Pozytywne było i to, że polepszyła się jakość doboru żołnierzy. Wcześniej byliśmy zmuszeni pracować z tym, co nam przysyłano. A teraz, zgodnie z rozkazem naczelnika sztabu okręgu, przysyłano młode uzupełnienie większe o 50-60 ludzi niż potrzebowaliśmy. W końcu każdego okresu nauki mogliśmy robić przesiew przychodzących do nas według wyższych standardów fizycznych i moralno-psychologicznych. To dyscyplinowało ludzi. Mało kto pragnął z oddziału specjalnego trafić do piechoty. Nie wolno powiedzieć, że nie byli to ludzie zdolni do służby. Zazwyczaj w piechocie, w ciągu miesiąca, dwóch, trzech zostawali oni podoficerami. Przecież przez pół roku przeszli niezłe przygotowanie, a mieliśmy bardzo wysokie normy.

W listopadzie 1978 roku zostałem wyznaczony na stanowisko dowódcy oddziału specjalnego, z pominięciem stanowiska szefa sztabu. (...) Dzięki Bogu, że trafił mi się rozsądny zastępca ds. politycznych, Sasza Pietraczow i tak we dwóch ciągnęliśmy. (...) A przed nami był Afganistan.

Mając w podporządkowaniu dwie kompanie specjalnego przeznaczenia, spróbowałem wnieść niewielkie zmiany w formę odzieży. Przecież dla młodego człowieka jest ważne, nie tylko

jaki ma mundur, ale i jakie ma insygnia. (...) Mnie wydawało się, że nasz mundur jest bezosobowy. Przecież od lotnictwa wyróżnialiśmy się tylko emblematami, a od spadochroniarzy w ogóle niczym. Wybaczcie, ja was szanuję i lubię, ale najbardziej lubię oddziały specjalne GRU! Bez postawy małego patrioty, nie można być patriotą dużym. Tak oto zdecydowałem zrobić znaki rozpoznawcze na rękaw do munduru specjalnego, dla każdej kompanii.

Teraz jest ich wielkie mnóstwo, swój znak mają, rodzaje wojsk, zgrupowania, jednostki i nawet zarządy w wielkich sztabach. W tamtym czasie znaki rozpoznawcze miały tylko rodzaje wojsk.

Dla jednej kompanii zrobiliśmy na rękaw znak z podobizną łosia, a dla drugiej wilka. Malarzem i ich twórcą był Aleksandr Korobiejnikow, ten od spadochronowego rozkazu. On w tym czasie był już chorążym w moim oddziale. Każdy znak był ręcznej roboty. Ale znowu wmieszał się sztab nadrzędny i kategorycznie zabroniono, żeby kompanie nosiły te znaki. Próbowali mnie nawet oskarżyć o proamerykanizm.

Tłum. Kazimierz Kraj

1 Środkowoazjatycki Okręg Wojskowy – przyp. tłum.

Fot. archiwum autora

Igor Juriewicz Stodieriewskij, ur. 15 marca 1948 w Aszchabadzie, w rodzinie wojskowej. Absolwent Wyższej Ogólnowojskowej Szkoły Dowodzenia w Taszkencie oraz Akademii Wojskowej im. M. Frunze w Moskwie. Oficer 15. Samodzielnej Brygady Specjalnego Przeznaczenia GRU, dowódca 154. Samodzielnego Oddziału Specjalnego Przeznaczenia (wcześniej tzw. batalion muzułmański) w Afganistanie, dowódca batalionu ochrony Zakaukaskiego Okręgu Wojskowego w Tbilisi, dowódca 90. i 355. pułkami zmotoryzowanymi, dowodził pułkiem w Zachodniej Grupie Wojsk Radzieckich, do 1996 r. oficer armii ukraińskiej.